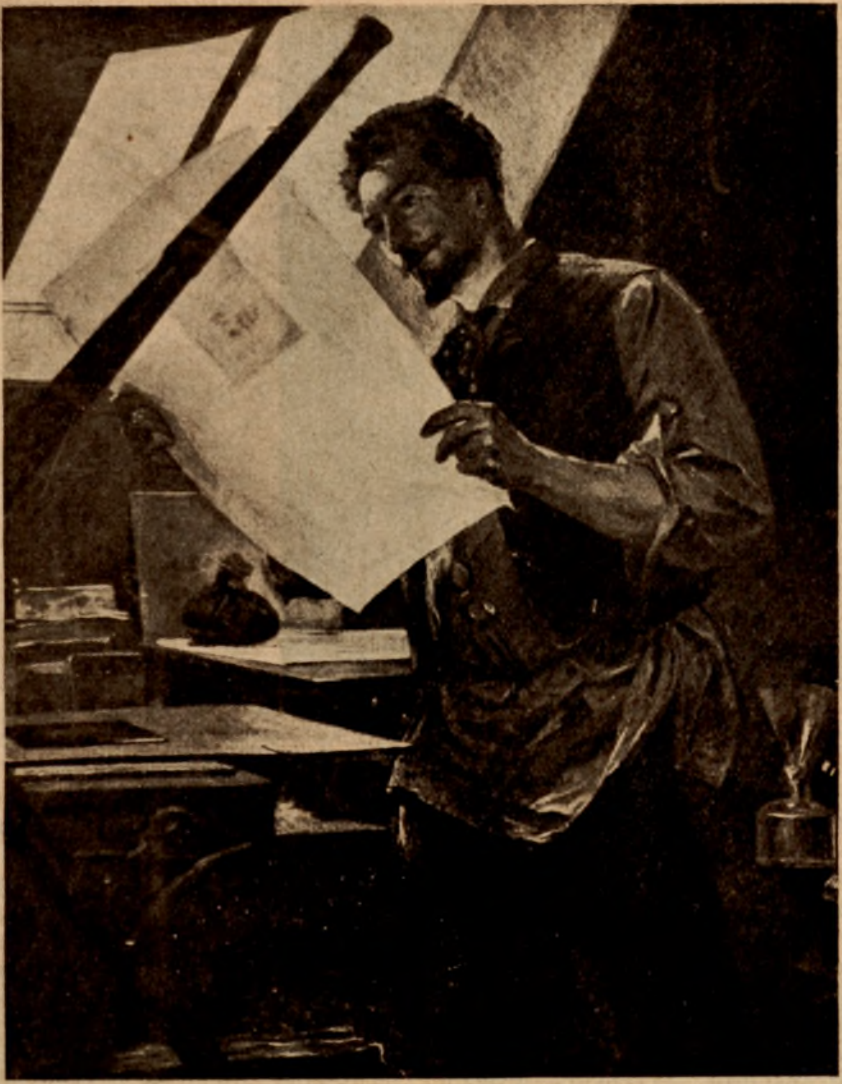


Artysta grafik w swej pracowni.

DZIŚ I JUTRO

DWUTYGODNIK DLA MŁODZIEŻY

ROK XIII POZNAŃ, 1 MARCA 1937 NR. 12



Cima da Conegliano (1640—1517).
Zwiastowanie N. M. P.

Ludzie Namalowani

Niema chyba między Wami nikogo ktoby nie słyszał przynajmniej o włoskich (jak się dziesiaj mówi italskich) malarzach z czasów tak zwanego Renesansu (to znaczy Odrodzenia. Chodziło o odrodzenie sztuki klasycznej starożytnej). Italia wydała wówczas (XV—XVI wiek) wielki zastęp wielkich artystów, którzy umieli „robić" żeby się tak dosadnie, a trzeźwo wyrazić, malowidła pod każdym względem imponujące. Pod każdym względem, a więc pod względem pomysłowości, pod względem kompozycji, kształtu, barwy i wreszcie samego rzemiosła malarskiego (umiejętności używania pędzla i farby). Ale dlaczego o tym wspominam. Dlatego, że chcę pokazać na przykładzie malowideł z tych czasów (a mógłbym wybrać także inne czasy) jako uznanych powszechnie i bezapelacyjnie, za arcydzieła sztuki, że w sztuce obowiązują prawa inne niż w rzeczywistości. Wyobraźmy sobie, że chodzi o coś podobnego do Wolnego Miasta Gdańska naprzykład w którym obowiązują swoiste, własne, inne prawa, niż w całym pozostałym Państwie Polskim. Ba, w tym samym Gdańsku, w dzielnicy portowej panują pewne przepisy i zwyczaje różne od tych, jakie są przyjęte w innych częściach miasta.

Albo jeszcze lepiej, na okręcie, który płynie przez morze czy ocean są w mocy szczególne prawa, których stróżem jest kapitan okrętu.

Paul Morand pisze w nowej książce o Nowym Yorku w ten sposób o okrętach odjeżdżających do Europy. „Okręty stają się kawałkiem Manhattan (Wyspa na której leży N. Jork), ruchomą częścią miasta, periodycznie się od niego odwracającą." Dzieła sztuki są właśnie takimi okrętami odjeżdżającymi od lądu rzeczywistości.

Ale wracajmy na stały ląd.

Sztuka jest dziedziną własnych odrębnych, autonomicznych praw wobec rzeczywistości dokolnej. Sztuka jest dziedziną rzeczywistości samoistnej, rzeczywistości artystycznej, albo jak kto woli estetycznej.

Co to znaczy?

Czy to, że w świecie sztuce mogą np. ludzie chodzić na głowie, albo zgoła fruwać w powietrzu i to w dodatku bez skrzydeł?!

To niemożliwe! — Owszem możliwe, możliwością najbardziej niezależną od wszystkiego, co uważamy za niewzruszone prawa życia codziennego. — Dlaczego? — Dlatego, że namalować można wszystko co tylko malarzowi farba na pędzel przyniesie. (Jakie są granice tej swobody, gdzie się zaczyna swawola, o tym innym razem). Gdyby żywy człowiek usiłował się unosić w powietrzu, spełzło by to na niczem. Tymczasem na obrazie, ponieważ postać ludzka nie jest zrobiona z ciała lecz z odrobiny farby, i że ziemia jako również zrobiona z farby nie wywiera siły przyciągającej, więc owa postać człowiecza, może znajdować się w sytuacjach niedopuszczalnych w rzeczywistości, nazwijmy ją tak, praktycznej. Zreprodukowany (str. 180) obraz malarza Sasetty (1392—1450) a przedstawiający „Mistyczne zaślubiny Świętego Franciszka" (znajdujący się w Chantilly we Francji) dowodzi, że to co powiedziałem wyżej nie jest czczym frazesem. Trzy święte dziewice, unoszące się w powietrzu, zdają się być obojętne na prawa, które by je obowiązywały gdyby były nie namalowane, ale uformowane z krwi i kości.

Skoro już o tym obrazie mowa, popatrzcie na prawo, niziutko, widać tam jakieś mury miejskie. Ależ one są tak maleńkie, wobec stojących przed nimi postaci, że byłoby niemożliwością, żeby te postacie mogły się w nich zmieścić...

Napewno — ale w rzeczywistości praktycznej, poza obrębem malowidła. Tutaj wszakże nie ma o to obawy. Choćby z tego powodu, że na tym malowidle owe postacie nigdy, uważacie, nigdy nie będą wchodziły w ową bramę na dole. I to jest początkiem całej, życiowo biorąc, niedorzeczności rzeczywistości artystycznej tego malowidła. Że to co na nim widzimy będzie trwać wiecznie, o ile obraz nie ulegnie zniszczeniu.

Już w tym jest niezgodność z prawami rzeczywistości. Jest przecież nie do pomyślenia, żeby kilka osób mo-



Leonardo da Vinci 1452—1519. *Zwiastowanie N. M. P.*

gło stać do nieskończoności tak nieruchomo i nie starzejąc się.

Wogóle, jeżeli się chce sztukę lubić i cenić trzeba jej to wybaczyć, że sko-



Sassetta 1392—1450.
Mistyczne zaślubiny świętego Franciszka.

ro ludzie, drzewa, niebo i ziemia, ptaki i domy są zrobione tylko z farby — zupełnie płasko, to musi im być wolno zachowywać się inaczej niż drzewom z tkanki roślinnej, i domostwom z muru.

Musimy, chcąc okazać, że się na sztuce znamy, uznać odrębność praw jej rzeczywistości — praw estetycznych. Nie chemicznych, ani astronomicznych, ani przepisów kolejowych czy celnych. Wszystko to jest w sztuce bezsensowe, niedorzeczne.

Popatrzcie jeszcze na obraz artysty Cima de Conegliano 1460—1517) pod tytułem „Zwiastowanie" (w Ermitażu w Leningradzie).

Gdyby w sztuce chodziło o ścisłe trzymanie się natury, cała scena musiałaby się odbywać w Palestynie, a tymczasem odbywa się w Italii, co widać po architekturze i ubiorach.

Ba! zobaczcie inne „Zwiastowanie", innego artysty. Jakto, więc jak w końcu „naprawdę" odbyło się Zwiastowanie?!

Czy tak jak u da Vinci'ego, czy tak jak u Cima da Conegliano?

Zapewne, ani tak, ani tak, ale to nie ma w sztuce znaczenia. I nie ma to znaczenia nawet wtedy, kiedy chodzi nie o temat religijny, ale nawet kiedy w grę wchodzi świecki fakt historyczny. Dowodem „Grunwald" Matejki.

Dlaczego tak jest, o tym przy następnej okazji.

Na zakończenie proszę Was tylko nie irytujcie się, jeżeli kiedykolwiek zobaczycie, że jakaś osoba na obrazie zachowuje się nie tak jak powinna robić to w rzeczywistości.

Bo to jest o s o b a n a m a l o w a n a, a nie urodzona? Czy zgoda?

T. Cieślewski Syn.

W Monte Casale

Niedaleko puszczy Borgo di San Sepolcro stał w miejscowości, zwanej Monte Casale klasztor braci mniejszych. Do tego biednego domu zdążał ojciec Franciszek. Na plecach niósł sakwę zebranego chleba, rękami obejmował dzban młodego wina. Szedł wolno, gdyż był zmęczony. Za nim biegła „siostra owieczka", którą wybawił niegdyś z rąk srogiego przekupnia, nad nim fruwały szarzy bracia wróble wyskubując z torby okruszyny.

Kruża była ciężka, chleb w sakwie ugniatał franciszkowe plecy, lecz święty się cieszył, że ma czem poratować swych kochanych braci.

— Kto jak kto, ale gwardian na pewno się uraduje — myślał rozweselony. — Wystarczy chleba na całe dwa dni. Doszedł do klasztoru, który wyglądał jak grzybek, wrośnięty między drzewami, mały, omszały, koloru szarej ziemi. Na podwórku stał brat Anioł we własnej osobie.

— Nareszcie przychodzisz ojcze! — zawołał patrząc na Franciszka swym błękitnym wzrokiem — Boże co się tu działo!

I wciągnął go pośpiesznie do wnętrza.

— Coś taki niespokojny? — rzekł święty zrzucając z pleców sakwę. — Patrz, aż tyle chleba!

— Chleb mi tam w głowie ojcze! Wiesz kto tu był? Zbójcy!

— Jacy znów zbójcy?

— Nie wiesz! Ci co hulają po całej okolicy — mówił gwardian jakby się dławił własnymi słowami. — Ci co zabrali konia staremu Juiseppe, co, jak wszyscy twierdzą, ukradli muły Giana. Oni tu byli!

— Jakże się stało?

— Zakradli się rankiem. Tu nie ma zamknięcia... Tacy zuchwalcy, wszędzie plondrowali i jeszcze chcieli żebym ich nakarmił! Ale ja się odrazu domyśliłem, że to są opryszki. Co tu robicie? — krzyknąłem. — Nie wstydzicie się pożerać jałmużny sług bożych, wy, nie warci aby was ziemia nosiła! Zmykajcie stąd zaraz i nie pokazujcie się więcej na oczy!

— Takeś im powiedział?

— Słowo w słowo. Szelmy przestraszyły się, że zawołam braci, więc zaraz uciekły. Ale co się naklęły, co się nazłościły!

Franciszek usiadł na ławce i spojrzał w milczeniu na stojącego gwardiana.

— Źleś zrobił bracie Aniele — rzekł po chwili, wolno — i nie tak jak na wyznawcę ewangielii przystało. Przecież nasz mistrz, Jezus Chrystus, powiedział, że nie zdrowym potrzeba lekarza ale właśnie chorym. Chorzy byli u ciebie a tyś ich nie przyjął.

— Kiedyż to zbójcy, ojcze!

— Ale mają duszę, a każda dusza może jeszcze być świętą.

Brat Anioł poczerwieniał, przez co jego niebieskie oczy wydały się jeszcze jaśniejsze.

Franciszek mówił dalej surowo.

— Jako, że postąpiłeś przeciw miłosierdziu, rozkazuję ci w imieniu świętego posłuszeństwa wziąć tę sakwę z chlebem i ten dzbanek wina i pójść za zbójcami przez góry i doliny, póki ich nie odnajdziesz i nie ofiarujesz im tego w moim imieniu. A potem poproś ich, także w moim imieniu, aby nie czynili już złego i lękali się Boga. Jeśli tak uczynią obiecuję opatrywać ich potrzeby i dostarczać im napoju i jadła.*)

Brat Anioł nie czekał dłużej. Władował na plecy worek, uchwycił dzban wina i zgnębiony, z rozpaloną twarzą, skierował się ku drzwiom. Tutaj zatrzymał się w progu.

— Przebacz ojcze Franciszku mojej grzesznej duszy — rzekł smętnie. — Pomódl się za zbójców, ale także i za mnie, który ich zgorszyłem...

Wyszedł na podwórko, śpiące w południowej ciszy, skierował się leśną drogą ku bliskiej osadzie i począł szukać opryszków. Szukał noc i dzień — lecz nie mógł ich odnaleźć. Wreszcie, gdy w dżdżysty wieczór człapał po rozmokłej drodze wlokąc nogi oblepione bryją, ujrzał jakieś światło w dawnych kamieniołomach. Tknęło go przeczucie. Przyśpieszył kroku. Wdrapał się wśród oślizgłych głazów i stanął u wejścia lochu w którym dogorywało ognisko.

— Kto się tam znów łomoce? — zawołał gniewny głos z wnętrza.

Zakonnik wszedł trochę drżący. Woniało w pieczarze stęchlizną. Na wiązce siana leżało grzbietem do góry

*) Patrz Kwiatki Świętego Franciszka.

dwóch mężczyzn, zaś trzeci, brodaty, stał kołysząc się na wysokich nogach i patrzył w otwór jaskini.

— Santa Madonna! — szepnął brat Anioł potykając się o leżący kamień. — To ja... bardzo przepraszam... od ojca Franciszka...

Co rzekłszy, upuścił sakwę z której wysypały się kołacze i chleby.

— Dobra! przynajmniej nie zdechniemy z głodu! — zawołali mężczyźni dźwigając się z ziemi i chwytając łapczywie bochenki. — Drab przyszedł w samą porę...

— Co u kroćset djabłów! Gwardian z Monte Casale, — zawołał w tej samej chwili brodacz Cosimo postępując krok naprzód, przyczem jego złowrogie, głęboko osadzone oczy wpiły się w twarz przybysza? Ty tutaj bratku? Dlaczego?

Ledwo to wypowiedział, dwaj jego towarzysze Gino i Agostino przyskoczyli do zakonnika, lecz on się nie cofnął.

— Tak, gwardian z Monte Casale — rzekł oparty plecami o kamienną ścianę — ten sam, który was tak nie po chrześcijańsku przyjął, za co was teraz pokornie przeprasza. Ojciec Franciszek srodze mi to wyrzucał... Kazał mi was odszukać... Kazał dać wam od niego, z wielką serdecznością, te chleby, które użebrał i także to wino. Patrzcie, pełniutki dzbanek!...

Na to słowo zakotłowało się w lochu. Cosino porwał kružę, Gino i Agostino otaczali zakonnika, wymachiwali rękami i pytali jeden przez drugiego, ze zdumieniem.

— Franciszek z Assyżu? „Santo poverello"? ten nam to przysyła? Na co? Może w okupie?

Gwardian zatrzepotał rękami, jakby się przed czemś broniąc. Jego krągłe podobne do niezabudek oczy miały teraz wyraz stanowczości.

— Nie chodzi o żaden okup! — zawołał. — Chodzi o to, że Franciszek kocha was jak braci w Chrystusie i chce wam dopomóc.

— Kocha nas? Chybaby głupi uwierzył!

— A ja wam mówię, że kocha, i że chce was zbawić...

— Ho, ho, widać, że ten Franciszek nie jest do ciebie podobny gwardianie — zachichotał Cosimo. — Tyś nas zwymyślał od zbójów i zatraceńców, pamiętasz?

Zakonnik ściągnął brwi zmarszczył się jak człowiek, który przełyka coś bardzo gorzkiego, poczem ukląkł między zwałami kamieni a rozrzuconym chlebem mówiąc do Cosina.

— Masz słuszność bracie, nie jestem podobny do Franciszka, bo on jest święty, a ja marny grzesznik. Wiem, że postąpiłem z wami bez serca i jeszcze raz was za to przepraszam.

— Nie klęcz! — burknął Cosino odwracając głowę.

— I muszę jeszcze jedno powiedzieć — rzekł gwardian powstając. — Oto święty ojciec Franciszek błaga was abyście przestali rabunku i dbali o waszą duszę. Jeśli nie będziecie czynili złego, ojciec zobowiązuje się myśleć o waszych potrzebach, dostarczać wiele wam potrzeba napoju i jadła.

Zapadła cisza. Przez otwór lochu słychać było plusk deszczu w przydrożnej kałuży a w dali przeciągły krzyk ptaka.

— Kto mówił do nas w te słowa? — wyrzekł po chwili Gino jakimś obcym głosem. — Ja nie pamiętam. Nam przecież wszyscy złorzeczą...

— Prawda, nie pomnę czy kto do nas tak mówił — stwierdził Agostino gmerając w czuprynie. — Trzeba się tylko dziwić, że Franciszek uchował się na tym podłym świecie, nie uważacie ludzie?

Znowu milczeli. Znowu szemrał w kałuży deszcz a w dali pogwizdywał ptak.

— Już idę — rzekł brat Anioł naciągając kaptur. — Franciszek modli się za was w klasztorze. Zostańcie z Bogiem. Idę.

Słysząc te słowa Cosino obruszył się nagle.

— Po co masz odchodzić — rzekł szorstko. — Siadaj. Będziesz nam opowiadać o twoim Franciszku. Siadajże bracie Aniele!

*

Po odejściu zakonnika trzej mężczyźni byli jak urzeczeni. Mówili ciągle o braciach z Monte Casale: że Franciszek musi być chyba świętym, że gwardian przepraszał ich klęcząc a oni złoczyńcy, nie czynią pokuty, że grzechy ich są rozliczne i ciężkie.

Czasami rzucali też krótkie pytania.

— A czyby nie warto poznać tego Franciszka, wyznać mu całą prawdę, odmienić plugawe życie?

Stracili dawny wigor, nie urządzali wypraw, nie mogli nigdzie znaleźć sobie miejsca, aż w końcu, nieszczęśliwi, zżarci niepokojem — poszli.

Księżyc wstawał nad zaroszoną ziemią, kiedy zatrzymali się u wrót klasztoru. Cicho było ogromnie. Za budynkiem wznosił się czarny las, przed wchodowymi drzwiami siedział blady człowiek o wychudłej twarzy.

— Czy to nie ojciec Franciszek? — zapytał nieśmiało Gino.

— Owszem moi drodzy, a wy kim jesteście?

Wtenczas, raptownie, ku zdumieniu patrzących na to braci, Cosino runął do franciszkowskich nóg wołając:

— Jesteśmy grzesznicy ojcze! Opryszki, zbrodniarze, ale jeśli masz jakowąś nadzieję, że Bóg nam odpuści, gotowiśmy zrobić wszystko, co rozkażesz i pokutować przy tobie.

Człowiek o wychudłej twarzy otworzył ramiona.

— Choćbyście mieli nieskończenie wiele grzechów — rzekł z mocą — miłosierdzie boskie jest większe niżli ludzkie grzechy. Pokój niech będzie z wami.

Mężczyźni spojrzeli na Franciszka jak na oswobodziciela, który zdejmuje z ich pleców ciężar ponad siły i uczuli nagle, że są wyzwoleni.

— A teraz chodźcie dzieci — mówił zakonnik wstając. — Nasz dom jest dla was otwarty, przecież ja na was czekałem...

Dawni zbójnicy weszli na palcach do klasztornej bramy.

— Czy mi się zdaje — szepnął Gino do Agostina — że dokoła Głowy Franciszka jest światło?

Pia Górska.

PRZEBUDZENIE

Na czole światła plama skąpa,
na wargach uśmiech — dawny mit —
po rzęsach sen leciutko stąpa,
za oknem świt.

I przebudzenie znów niechętne. —
Pierzchajcie sny w pobladły świat!
Ulice brzmią okrutnym tętnem,
krzyk na obłoki białe padł.

Oparty w oknie o framugę
przyciszam oddech, tłumię wzrok.
— Matko, przywołaj dłonią strugę
płynącą łąką jak co rok.

— Daleka matko — tak jak dawniej
zakwita łąka w szmerze traw
i do chałupy naszej ma wnijść
wiosna, w podołku niosąc szczaw.

Pieśni brzęczących pszczół na lipie,
muzyki zbóż i słońca brak.
W wieczornym szumie, w cichym skrzypie,
na wargach uśmiech gorzko zblakł.

Ptaki tęsknoty w dal się niosą.
Mnie stąd daleka wiosny woń.
— Matko, poranną, miękką rosą
złóż ręce swoje na mą skroń.

Podstawka.

Dziewczynki — wdowy

Dokoła naszego cantonmertu (dzielnicy białych) u podnóża Himalajów — wznosił się kamienny, wysoki wał z narożnymi, warownymi bramami na wschód, zachód, południe i północ.



Dziewczynki hinduskie idą do szkoły.

W obrębie tej „forteczki", w pięknych, kamiennych bungalows (willach), strzeżeni przez kilka bitnych pułków szkockich — mieszkaliśmy my, biali, sumiennie naśladując we wszystkim Europę! Ba! to nawet było więcej niż Europa, to wystawne życie na codzień, to najwyższe anglosaskie standart of life!

A za „chińskim" murem, tuż o pareset zaledwie kroków — bytowała po swojemu w ustawicznym zgiełku, w świętym brudzie, i głodzie — Azja.

Ledwo przekroczyło się którąś z bram dzielnicy europejskiej wpadało się odrazu w rwący potok życia Laczywoli, Lakmandżuli, Czakraty — to znaczy najbliżej z nami sąsiadujących wsi — miasteczek.

Gdy upał nieco spadł w godzinach przedwieczornych i można było bez nabawienia się porażenia słonecznego, w najlepszym razie krwotoku z nosa (100—110° według Fahrenheita) — wyjrzeć na świat Boży — jechaliśmy często własnym wozem automobilowym na Cazar, po owoce. Wówczas uwagę moją przykuwał zazwyczaj widok szczuplutkich, drobniutkich dziewczątek, kroczących z powagą i gęsiego po obu stronach szerokiego gościńca. Małe — dźwigały pokaźne, drewniane deszczułki z wykaligrafowanymi czerwoną farbą hieroglifami. Oczywiście człapały na bosaka, zbytnio się nie śpiesząc do najbliższej . . . szkoły.

Zjawisko tak dalece niepowszednie w tym egzotycznym kraju„ że frapowało uwagę — nawet stałych, białych mieszkańców półwyspu hindostanskiego. Dotychczas bowiem szkolnictwo powszechne w Indiach jest sprawą trudną i niezwykle zawiłą. Na drodze szerzenia piśmiennictwa, zwłaszcza wśród dziewcząt — stoją liczne przeszkody — w pierwszym rzędzie uprzedzenia kastowe.

O przymusie — nie ma dotychczas mowy! Piśmiennictwo wśród podrastającego pokolenia żeńskiego wynosi zaledwie . . . 5 pro mille (wśród męskiego 5 proc.) Zaiste niewiele.

Ale mieszkaliśmy na północy archipelagu, w okolicach stołecznego Delhi (stolica Indyj Brytyjskich), cywilizacja zatacza tu szersze kręgi, to też smarkate z Laczywoli i Lakmandżuli miały już gdzieś ukrytą w kącie podwórza albo poprostu na maidanie, w cieniu rozłożystej dzikiej figi, — swoją własną szkółkę, przypadającą zapewne na 6—7 wiosek okolicznych.

Przyglając się dzień w dzień tej procesji czekoladowych dziewcząntek, które stawały jak wryte w ziemię ujrzawszy nas — białe, — zauważyłam, że jedne miały na sobie tylko coś w rodzaju krótkich, podkasanych spódniczyn, rząd ubożuchnych koralików na nagich piersiątkach i szczyt marzenia . . . płócienny parasolik; inne

znowu nosiły już długie po pięty sazi (narodowa suknia hinduski) i wyglądały tak samo, jak nasze małe, ustrojone w suknie z trenami, wyglądały jak stare-małe. Wreszcie musiałam zapytać kogoś bardziej wtajemniczonego.

— Ach te... w sazi? — to są już zaślubione albo raczej wdowy. Noszą suknie dorosłych.

— Skąd wiadomo, że wdowy? —

— Bo o ile przyrzeczony żyje — nikt nie będzie się już troszczył o los dziewczątka, a tembardziej myślał o kształceniu go. Wejdzie rychło pod dach mężowski i koniec z kobietą! Będzie musiała wysługiwać się teściowej i świekrom. O ile zaś, młodociana Hinduska zostaje osierocona przez narzeczonego w dzieciństwie — los jej jest opłakany. Nie wiadomo bowiem, co z nią począć, skoro o wtórym związku małżeńskim — nie mogło być dotychczas mowy. Staje się więc plagą rodziny, widomym znakiem kary boskiej, niegodną — aby brać udział w powabach życia doczesnego! Wstydem i wyrzutem dla całej rodziny. Wkońcu zostaje popychadłem i służką wszystkich.

— Ale skąd się właściwie biorą te „maleńkie" wdowy, których liczba nawet dziś dosięga liczby paru milionów na półwyspie?

— Do zamknięcia Hindusek w Zenanas (haremach) i do przymusowego zaślubienia ich niemal w kołyskach, przyczynił się w Indiach okrutny najazd muzułmański w wieku 11-tym. Aby uchronić nieletnie córy przed rozpustą i samowolą najeźdźców — zaczęto wydawać je zamąż w niemowlęctwie. Zaręczyny — czyli zmowa rodziców i spisanie aktu zawarcia narzeczeństwa równa była późniejszym obrzędom zaślubin. Panna w kołysce — była już przyrzeczoną, nikt nie mógł ubiegać się o jej rękę gdy podrastała. I tak zostało na półwyspie przez setki, setki lat.

Z drugiej strony wszystkie przykazania, zawarte w świętych księgach Widdy, spełniających rolę Starego Testamentu — wyznaczają Hindusce j e d y n e g o tylko mężczyznę na świecie za męża. Ułomny, czy stary — wy-



W hinduskiej szkole.

brany przez rodzinę — godzien jest największego uwielbienia. Musi być kochany przez żonę za życia i po śmierci.

Hindusi mają prawo do dwóch, trzech i więcej żon; mahometanie do czterech. Żenią się chętnie z dużo młodszymi od siebie — stąd b. często, zanim młodociana narzeczona dojrzeje fizycznie — mąż przenosi się do wieczności, nie zostawszy jej mężem. Ona — zostaje wdową już do końca dni swoich. Przykazania z Weddy głoszą bezapelacyjnie — że upośledzenie jej w życiu doczesnym — jest tylko pokutą za grzechy popełnione w poprzedniej inkarnacji. Musi ją znosić w pokorze ducha.

Przekonanie to jest tak wpojone Hindusce od dziecka, tak wzrosłe w jej psychikę — że jak dotychczas nie próbowała ona się nawet bronić. Nie ma podobno takiej rodziny wśród Hindusów ortodoksów (zwłaszcza wśród Braminów, najwyższej kasty hinduskiej) gdzieby nie było tych tragicznych istot, skoro zaledwie przed 5 laty weszło w życie „Sarda Act", prawo zabraniające małżeństwa nieletnich ze starcami oraz małżeństwa dzieci.

Dopiero spisy ostatniego pięciolecia odróżniają się od wszystkich poprzednich pokaźną liczbą „kobiet w stanie panieńskim" co świadczy najdobitniej, że podrastające pokolenie żeńskie nie całe zostało już poślubione w kołysce, jak to praktykowano dotychczas!

Postęp zatacza jednak coraz szersze kręgi. Czyż można porównać stan rzeczy z przed lat osiemdziesięciu, stu, gdy władze brytyjskie wydały po raz pierwszy zakaz spalania... wdów żywcem na pogrzebie męża. Barbarzyńskie te praktyki trwały jeszcze do r. 1829...

„Maleńkie wdowy" mogą już dziś przynajmniej czegoś się uczyć, aby zdobyć sobie mniej więcej jakąś pracę, aby nie być ciężarem i plagą rodziny. W klasach uboższych — godzą się za służące, zwłaszcza niańki — zwane ajami, ekspedientki do sklepów, praczki. Dotychczas bowiem w Indiach — kupcem, kucharką, krawcową i praczką — byli wyłącznie mężczyźni.

W klasach zamożniejszych — wdowy kończą seminaria nauczycielskie, kadry pielęgniarskie, znikomy odsetek idzie do uniwersytetów.

Ta garstka, dosłownie pionierek ruchu wyzwoleńczego (na 350.000.00 obywateli...) jest kroplą w morzu powszechnej ciemnoty i nędzy moralnej.

Gdy pokolenie ludzi ciemnych, protestujących przeciwko nowemu, naradzającemu się życiu — odejdzie w zaświaty, gdy „Sarda Act", wyzwoli wreszcie Hinduskę z jarzma barbarzyńskich przesądów, zabroni zaślubiać w dzieciństwie — znikną z powierzchni Hindostanu maleńkie wdowy pokutnice!

Wanda Skarbek.

Moje pierwsze polowanie

Serce mocno bije. Z wielkiego wrażenia spać nie mogę. Jutro, jutro — jadę na polowanie! Jak to będzie — wprawdzie tylko zające — ale zawsze prawdziwe polowanie... 200—300 zajęcy, każdy myśliwy jest królem polowania, — ja — królową, triumfalny powrót do domu w złotych humorach. Pozatym — nic — cicho — ciemno, ach to mi się tylko śniło. Znowu myślę, że nie zasnę, dziwię się więc, gdy mnie budzą o 6,30 — bo ja przecież nie spałam wcale, ale się zrywam i ubieram od razu. Nie bawię się w toaletowe udoskonalenia. Dziś na to czasu nie ma. Schodzę na dół. Wszyscy już przyjechali — połykają ciepłą herbatę i na trąbkę ubierają się i jadą...

A ja? Narazie zostaję — ponieważ pani domu poluje — na mnie spadł „cały ciężar" odpowiedzialności, i jeśli do lasu nie zawiozę dobrego śniadania — ukarzą mnie i do kąta postawią — grozi okrutny pan Dodo!

Pilnuję więc, wydaję rozkazy i o 9 wyjeżdżam.

Naturalnie, wszystko się udało i smakowało — jadę więc do lasu... Będę przynosić panu szczęście... obiecuję i rzeczywiście — choć dotąd nie szło mu — teraz zając za zającem leży.

Miot w lesie skończony... idziemy do kotłów na pole. — Pierwszy raz to zobaczę. Myśliwi wyciągają numery. My mamy 4 — czekamy — a tymczasem widzę jak tamci rozchodzą się w dwóch przeciwnych kierunkach — między każdym z nich jest 9 chłopów z naganki. Nareszcie my wyruszamy.

Kocioł był bardzo duży, po godzinie przeszło marszu zamknęło się obwód, to znaczy dwóch myśliwych przedzielonych naganką spotkało się. Wtedy wszyscy ruszyli do środka. Zajączki zbudzone hałasem naganki zaczęły uciekać płoszone, straszone, strzelane. Niektórym szczęśliwcom udało się zwiać i wyrwać przez kocioł.

Szłam z p. Dodem, ponieważ śniadanie było dobre, przewagę ja miałam, postanowiłam ją wykorzystać. Zażądałam więc spełnienia mojej prośby.

Dodo zgodził się. Zaczęłam myśleć. Nagle. Oj, co za szalony pomysł — ujrzałam zbliżającego się na „sztych" zająca — i... proszę o strzelbę...

Mierzę — naddaję odpowiedni kawałek — strzelam... I, czy to możliwe... zając leży.

Byłam tak uszczęśliwiona, że ustać spokojnie nie mogłam. Trąbka. Na-



Młody myśliwy.

ganka do „seredyny". Nareszcie — koniec. — Skaczę z radości, cieszę się, gdy porywają mnie i, o zgrozo, pomazują mnie krwią zabitego zająca. Ponieważ wiedziałam, że jest to nieunikniony zwyczaj — nie broniłam się.

Uszczęśliwieni i weseli pakujemy się na sanie — wiwatując króla. Z tym królem to było komicznie — bo nie zabił najwięcej zajęcy, ale jego jedyny lis — przewyższył ilość punktów tamtego.

Każdy chwali się swoją ilością, a ja uważam, że zdobyłam najwięcej!

Baśka Mniszkówna.

Matylda Wrede — przyjaciółka więźniów

Pochodziła ze znakomitego rodu Wredów, przekazującego swym potomkom w dziedzictwie, obok dostojeństwa, zaszczytów i sławy, tradycje prawdziwie rycerskich cnót — niezłomnej prawości i męstwa..

Ojczyzną jej była Finlandia — kraj północny, smutny i surowy, pokryty lasami, oblany z trzech stron morzami, dokąd przywędrowali już w XV wieku jej przodkowie, zamieniwszy słoneczne, wiecznie zielone południe na mroźną, śnieżystą północ.

Dzieciństwo miała jasne, pogodne.. Kochała wszystko wkoło siebie, — kwiaty, zwierzęta i ludzi i była przez wszystkich kochana... Z wielkim za-

pałem święciła urodziny ulubionego źrebaka, bawiła się z dziećmi wiejskimi i nie czuła się wcale pokrzywdzona, kiedy przez parę lat musiała uczęszczać z nimi do szkółki powszechnej, dzieląc ich prace i zajęcia, a nawet i skromne pożywienie, składające się z mleka, chleba i paru kawałków wędzonego mięsa.

Ale i nad tym wesołym, pogodnym dzieciństwem ciążyła ciemna chmura, na której wspomnienie kurczyło się z trwogą i bólem małe, dziecięce serce. Więźniowie... Matylda wcześnie zetknęła się z tymi ludźmi w szarych, aresztanckich ubiorach, o wynędzniałych twarzach i zapadłych oczach. W pałacu gubernatora Wrede wzywano ich często do robót: poprawiali zamki u drzwi, pracowali w ogrodzie, rąbali drzewo na opał itd. Nawet białe mebelki w panieńskim pokoiku Matyldy były wykonane przez nich.

Z mieszaniną lęku i odrazy spoglądała Matylda na więźnia pracującego w milczeniu przy drzwiach jej pokoju . Chciała do niego przemówić, a zarazem jakaś niewidzialna siła zamykała jej usta. Ale kiedy wreszcie przezwyciężyła swój wstręt, — kontakt był nawiązany. Więzień słuchał uważnie tego co do niego mówiła i odpowiadał spokojnie i z rozwagą. Nawet słowo Bóg, które Matylda wtrąciła nieśmiało do rozmowy, nie wywołało w nim buntu... Czuł się nieszczęśliwy, znużony walką, spragniony czyjejś przyjaznej, pomocnej dłoni.

— Ach, panienko — powiedział przy końcu wzruszony — powinna pani przyjść do nas i pomówić z nami tak, jak pani w tej chwili ze mną mówiła. Potrzebujemy tego naprawdę.

Matylda uszczęśliwiona z wyniku rozmowy, obiecała go odwiedzić w więzieniu.

Gubernator Wrede, zaskoczony postanowieniem córki, sprzeciwił mu się na razie kategorycznie. Więzienie nie było odpowiednim miejscem dla młodej panny. Ale i Matylda umiała twardo stać przy swoim.

— Obiecałam, że przyjdę — odpowiedziała krótko — a w rodzinie Wredów nie było zwyczaju cofać słowa, które się raz dało...

W parę dni później rozwarły się po raz pierwszy bramy więzienne przed Matyldą Wrede...

Pierwszy krok na drodze powołania był uczyniony...

Reszta przyszła już znacznie łatwiej.

Po pierwszych odwiedzinach w więzieniu przyszły drugie, trzecie, dziesiąte...

Strażnicy przyzwyczaili się już do tego, że przed córką gubernatora otwierały się drzwi każdej celi, która bywała nieraz świadkiem doniosłych scen i rozmów; więźniowie wcielili ją poprostu do swego życia: była im kimś bardzo drogim, swoim bliskim, przed kim otwierali swe serce, wyznawali winy, wynurzali postanowienia i wylewali skargi. Czasem zabierała z kolei głos Matylda, a wtedy więzień słuchał w milczeniu, chyląc coraz niżej głowę na pierś.

Razu pewnego z powodu przyjazdu jednego ze swych przyjaciół postanowiła odłożyć umówioną już poprzednio bytność w więzieniu. W nocy wszakże miała dziwne widzenie. Oto otwarły się drzwi do jej panieńskiego pokoiku i wszedł przez nią więzień, gruchocząc ponuro kajdanami u rąk i nóg. Matylda nie wiedziała, czy śni, czy widzi go na jawie, ale czuła na sobie jego pełne przeraźliwego smutku oczy i słyszała głos mówiący do niej z wyrzutem:

Tysiące nędznych, nieszczęśliwych więźniów wzdycha na próżno do życia, do swobody i pokoju. Idź do nich i mów im o Tym, który jeden może im przywrócić wolność, póki masz jeszcze czas przed sobą...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jeden papieros

(Dokończenie.)

Śnieg, po którym stąpał, nie był wcale pewny, tym bardziej, że spadające bez przerwy płatki utworzyły już bardzo grubą warstwę puchu. Puch taki na stromych zboczach bardzo często obsuwa się nagle, tworząc tzw. „lawiny pyłowe". — To samo stało się w tej chwili. Lawina przyszła cicho i niespodziewanie. W jednej chwili całe zbocze zadymiło się białym tumanem zimnym, wilgotnym i zapierającym dech w piersiach. Wydrze znikło wszystko z przed oczu, począł się krztusić, kaszleć, z trudem chwytając powietrze i czując, że śnieg zalepia mu nos i usta. Wbił ostatnim wysiłkiem kijki i przycupnął przy nich, walcząc aby nie stracił równowagi i nie stoczył się w dół.. — Po jakimś czasie uczuł, że wały śniegu stają się mniej gęste, że może już oddychać, a potem z niewysłowioną radością ujrzał księżyc. Odetchnął z ulgą, spojrzał w stronę, gdzie siedziała skulona postać narciarza. — Narciarza ani śladu! Zniknął jak duch.

— Halloo! — zawołał Wydra.

Cisza. Nieszczęsny pech — znowu spóźniłem się o pięć minut!

Przypomniał sobie papierosa.

— Nie będę już więcej palił!

Co było robić? — szukać zagubionego? to przechodziło już jego siły. Alarmować pogotowie? nimby nadeszło, biedaczysko udusiłby się pod śniegiem. — Wybrał to pierwsze.

— Będzie to kara za mój pomysł! — szepnął do siebie i począł ostrożnie zjeżdżać w dolinę.

Po godzinie natrafił kijkiem na coś twardego. Odgrzebał śnieg i znalazł pękaty plecak! nieco dalej leżał odłamek narty, a jeszcze dalej kijek.

Wyrzuty sumienia gryzły Wydrę nieznośnie.

— Co ja zrobiłem najlepszego, biadał w duszy, żebym go chociaż żywym odnalazł!

W tym momencie posłyszał ciche stęknięcie. Pobiegł w tym kierunku i oto co ujrzał:

Powierzchnia śniegu równa była jak stół i jakby wyprasowana, a nad nią wznosiła się rozczochrana głowa o wybałuszonych, przerażonych oczach. Oczy te patrzyły na niego z niemą prośbą o ratunek.

Wydra aż gwizdnął z radości. Odpiął narty i posługując się nimi jak łopatami, odkopał tułów narciarza. Szczęście jego nie miało granic.

— Kochany panie, wołał ze wzruszeniem, jakże się cieszę, że pana odnalazłem. Czy nic się panu nie stało?

Nieszczęśliwiec nie dawał odpowiedzi, postękując tylko od czasu do czasu.

— Czemu się pan nie odzywa? Czy boli co pana?

— Nic mnie nie boli, tylko ja tak się przestraszyłem . . . tak się okropnie przestraszyłem . . .

— No, niema się czemu dziwić — wołał wesoło Wydra, taka niespodziewana lawina . . .

— Nie, nie tego . . .

— A więc czego?

— Pana . . .

— Mnie?!

Skinięcie głową.

Wydra aż wypuścił nartę z rąk.

— Jakże to możliwe? — zapytał.

— Potem opowiem . . . teraz nie mogę . . .

Wydra znów ujął nartę, rozrzucając śnieg na obie strony z wielkim rozmachem. Po chwili wyłoniła się reszta sponiewieranego tułowia aż do butów. Rozpoczęło się teraz rozcieranie rąk, nóg, nosa i uszu, które poczynały już bieleć z przemrożenia. Następnie Wydra rozpalił maszynkę nagotował z przetopionego śniegu herbatę, dolał do niej rumu z plecaka turysty i podając mu ten wspaniały napój odezwał się:

A teraz proszę powiedzieć — co pana tak we mnie przestraszyło??

— Oh, widzę, że nie było się wcale czego obawiać, ale wtenczas... Doprawdy, strach pomyśleć... Bo niech pan sobie sam wyobrazi: noc, pustka. Nagle z za chmury pokazuje się księżyc i dostrzegam człowieka pędzącego na mnie, wymachującego kijkami i wydobywającego z siebie jakieś nieartykułowane dźwięki. Zanim się opanowałem otoczyły mnie wały śniegu. Teraz już wszystko w porządku i niewymownie dziękuję panu za okazaną pomoc.

— Ależ to była moja wina — to wszystko przeze mnie, — zawołał Wydra.

— Nic podobnego. Winę ponosi pewien narciarz, którego spotkałem pod Wrotami Chałubińskiego i który wskazał mi mylnie drogę. Panu należy się tylko moja wdzięczność...

Wydra, począł walczyć ze sobą, czy przyznać się do wszystkiego, czy udawać oburzenie na narciarza z Ciemnosmreczyńskiego Stawu. Nagle powziął decyzję. — Niech się dzieje co chce!

— To ja byłem owym narciarzem, który pana w błąd wprowadził — rzekł mocno. — Zły byłem, że muszę taki kawał podchodzić do pana i zemściłem się w ten sposób .Zemściłem się zresztą tylko nad sobą...

I począł opowiadać wszystko począwszy od godziny wpół do czwartej, kiedy to zstąpiło na niego nagłe oświecenie i od nieszczęsnego papierosa, którego wypalenie trwało pięć minut, stale później brakujące w pościgu.

Narciarz słuchał w milczeniu, a gdy opowiadanie dobiegło końca, wyciągnął do Wydry rękę z całą szczerością:

— Nie mam żalu do pana. Palnął pan głupstwo, ale dużo pan zrobił, by je naprawić. Właściwie to i ja nie powinienem był kazać panu tyle drogi nadrabiać dla własnej wygody.

Wydra nie posiadał się z radości:

— To już chyba razem pójdziemy do Pięciu Stawów — zaproponował.

Gdy po dwóch godzinach ułożyli się na pryczach, odezwał się Adam Wydra: — Wie pan co? Z całej tej przygody wypływają dwa morały: po pierwsze, że z niepoważnych żartów mogą wyniknąć bardzo poważne komplikacje, a po drugie, że nie należy palić papierosów.

Tutaj Wydra sięgnął po papierośnicę i poczęstował narciarza.

— Nie należy palić papierosów — rzekli niemal równocześnie, zaciągając się głęboko dymem.

T. Polcyn.

Alarm nocny w porcie wojennym

Kończy się praca w porcie wojennym. Długim szeregiem wracają z morza okręty. Najpierw prują fale łodzie podwodne, dalej kontrtorpedowce, torpedowce, a na końcu sapiąc i wyrzucając masy czarnego dymu płyną leniwie cztery traulery. Cicho wsuwają się do portu i stają układnie na swoich miejscach przy falochronach, lub przy molo.

Powoli pustoszeją warsztaty portowe, marynarze jadą na „kwarantannę" do Gdyni.

Port zalega cisza, przerywana jedynie szumem morza, krótkimi sygnałami P. O., oraz gwizdem boi.

Jest godzina 20. Cudnie wygląda nasz polski port. Prawda, jest trochę za mały — ale urządzony jak najlepiej. Z okrętów oświetlonych rzęsiście kładą się na wodę snopy światła. Na przeciwległym brzegu, w porcie handlowym stoją dwa nowe statki: „Piłsudski" i „Batory". — Chluba nasza.

Nagle — co to? Jakiś straszliwy gwizd. — Czy pali się gdzie? — Nie to

syrena na P. O. obwieszcza, że zbliża się nieprzyjaciel.

Gasną światła, port zalegają ciemności i głucha cisza. Z daleka dochodzi warkot motoru. To wróg się zbliża. Na niebie ukazują się jasne punkciki Nieprzyjaciel jest nad portem. Krąży, krąży, stara się wypatrzeć jakiekolwiek światełko, któreby mu pozwoliło zorientować się, gdzie się znajduje. Ale naprózno. Nawet boje zgasły i przestały śpiewać swoją monotonną pieśń o nieposłusznym sterniku.

Cichnie huk motoru. Światełka na niebie, oznaczające wroga gasną. — Czyżby zrezygnował z napaści?

O nie! Nieprzyjaciel jest chytry, symuluje tylko ucieczkę przez zciszenie motoru.

Nagle ciszę przerywa wystrzał. To kanonierka „Rybitwa" dostrzegła nikłe światełko na ogonie wrogiego samolotu i stara się go spuścić do wody. Ale on ucieka, puszczając za sobą dymną zasłonę. Nie odleciał daleko, bo nagle trzask! i z wysokości leci kula ognista, rozbija się, pada w morze.

Zaczyna się walka wśród ciemności. Artyleria przeciwlotnicza ukryta w wąwozach miota pociski dopóki zestrzelony ogon samolotu nie wpadnie w morze, albo wróg, któremu zabraknie amunicji nie cofnie się z pola walki.

Gruby, podłużny balon, umocowany na linie w odległości kilkunastu metrów od ogona samolotu służy za cel w czasie ćwiczeń i próbnych alarmów.

Wreszcie bój skończony. Światła zapalają się i wszystko wraca do zwykłego trybu.

Lubię patrzeć na takie alarmy. Okazują one potęgę naszą morską. Nie szkodzi, że nie mamy pancerników, lotnikowców. Otwartej walki morskiej prowadzić nie będziemy. Do obrony wybrzeży te rodzaje jednostek jakie posiadamy wystarczą, ale musi ich być więcej!

Na to nie poradzi jednak sama marynarka. Tu trzeba pomocy całego społeczeństwa . . .

Składajmy więc dary na F. O. M. (Fundusz obrony morskiej).

Kocham całą duszą polskie morze i powtarzam z marynarzami: „Nie damy morza — skąd nasz ród".

Szymanów. *M. Dzwonkowska,*
IV kl. gimn.

W odpowiedzi na listy

Baśka Mniszek, Gimn. 643. — Ucieszysz się zapewne z polowania. Dziękuję za nadesłany artykuł z przeżyć szkolnych, ale sama zrozumiesz, że do druku się nie nadaje. Za miły, szczery list jestem Ci wdzięczna. Numer autorski prześlemy.

Krystyna Kowalewska, Gimn. 643. Po sześciu latach prenumerowania pisma napisałaś po raz pierwszy... i przysłałaś próby swoich utworów — tych, które są Ci bardzo bliskie, bo Twoje... a więc jest nawiązanie bliższych stosunków, Krysiu droga. Czytak? Cieszę się z tego! Jest zacięcie. Widać, że główka zdolna, myśląca, trochę... marzycielska. By Twoje pomysły zyskały na wartości, trzeba i treść i formę wzbogacać. Czytaj dobre książki, wartościowe poezje i... próbuj skrzydeł. A możebyś mi co więcej o sobie napisała, gdy znów jaki utwór przyślesz kiedy do redakcji?

E. Turkówna, Gimn. 804. — Dziękuję serdecznie za artykulik. Umieścimy go, ale w tym numerze się nie dało niestety.

Zosia G., Gimn. 523. — Wyjątek z pamiętnika przeczytałam — przyznasz, że pomysły za mało oryginalne, by mogły pójść do druku. Niech się „Pierwszak" kochany więcej uczy i... do ortografii częściej zagląda, to może kiedyś zobaczymy...

Warunki prenumeraty: rocznie 5 zł (za granicą 7 zł). — Numer pojedyńczy 30 gr. — Konto P. K. O. „Dziś i Jutro" 404 930. — Redaktor naczelny: Jadwiga Szarska. Red. odpow. i wydawca: Jadwiga Bahr. — Adres redakcji: Warszawa, Łowicka 31. — Administracji: Pokrzywno, p. Krzesiny. — Czcionki i druk: Drukarnia Polska Spółka Akcyjna Poznań, św. Marcin 70.



14. II. zakończono tradycyjny narciarski marsz huculski Szlakiem II-ej Brygady. — Ilustracja powyższa przedstawia patrol kobiecy biorący udział w marszu, przy krzyżu pamiątkowym.

Aktualne zagadnienia

Współżycie społeczne i indywidualizm jednostki — czyż nie wykluczają się nawzajem? — Nie, przeciwnie — w harmonijnej współpracy na wyższy szczebel udoskonalenia wznoszą tak człowieka jak ludzkość całą. Rozwiązanie tego problemu znajdą starsze nasze Czytelniczki w głęboko przemyślanej, a jasno ujętej pracy ks. dr. Aug. Jakubisiaka, p. t. O wolność Synów Bożych. (Łódź 1936, Tow. Kultury Katolickiej).

Dostojeństwo i potęga — słabość i nieudolność to także kontrasty, których złączyć, zdaje się niepodobna. A jednak... dadzą się one pogodzić nie tylko w dziejach świata, ale nawet na terenie przeżyć jednego ludzkiego serca. — W tę przedziwną sztukę wtajemnicza France Pastoreli w książce p. t. Dostojeństwo choroby. (Poznań. Księg. św. Wojciecha).

Mało słów a dużo treści dadzą: Myśli Świętej Katarzyny ze Sierry. — (Księg. św. Wojciecha).

Wszystkie trzy wyżej wymienione książki przydadzą się na rekolekcje wielkopostne, a na ferie świąteczne polecamy następ. wydawnictwa Księg. św. Wojciecha w Poznaniu: G. Morcinek: „Noc listopadowa" i „Wiara". S. Jeleński: „Woda żywa". H. Zakrzewska: „Płomień na śniegu". Z. Kossak: „Bursztyny". H. Szołdrska: „W ogniu i w locie". E. Porębski: „Technika w życiu codziennym".

— W następnym numerze „Dziś i Jutro" znajdą się uwagi o grafice. W związku z tym dajemy dziś reprodukcję obrazu, przedstawiającego grafika w jego pracowni w chwili kiedy sporządziwszy odbitkę w prasie akwafortowej, ogląda ją ze skupieniem oceniając jak się udała.

TREŚĆ N-ru 12: